№ 12.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Naglowic.

ROK 1847. Poznań, dnia 14. Czerwca.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Społeczeństwa dążą we wszystkiém ciągle do postępu i zawsze to co widzą przed sobą, czego pragną co się ma ziścić, uważają za coś doskonałego, za coś ostatecznego, po czém mają ustać zupełnie życzenia. Tymczasem zjiszcza się wszystko i przychodzą znowu inne dążenia. Przyszłość postępową można sobie wystawić tylko jako ogromne pasmo gór, które podróżny zamierzył sobie przebyć, ale nie wie, że to pasmo jest tak wielkie, iż nietylko jego życie, ale całych pokoleń, które po nim w wiekach nastąpią, nie będą miały czasu, aby się pomimo największych wysileń potrafiły przedostać na drugą stronę. Kiedy podróżny przebywa jednę górę i widzi przed sobą stojącą drugą, sądzi, że za tą rozciąga się równina, sądzi tak samo pomiędzy górą drugą a trzecią, trzecią a czwartą i pomiędzy następnemi. Otóż myśl postępowa kieruje narodami, a ma siłę kierowania tylko dla tego, że jest myślą zwodniczą, że za najpierwszą górą obiecuje równinę, a może być, że ta jest dopiero za tysiączną, i jeżeli się zdarza, to znowu tak nieprzestronna, iż na niéj długo pobawić nie można i trzeba znowu przebywać górę za górą.

W dziewiętnastym wieku, który zaczął prawa człowieka stósować do życia, wyrobiła się zasada, że nie jest dosyć, aby małéj liczbie było dobrze na świecie, a drudzy nędzę znosili, ale chodzi o to, aby dobry byt rozpostarł się przez ludzkość, aby nędza znikła. Powiedziano sobie, że to złe ztąd wynika, iż ziemia niezawiśle należy tylko do małéj liczby ludzi; że zupełne prawo własności mają na niéj tylko stany uprzywilejowane, które właśnie dla tego, że są uprzywilejowane, niezawisłe, panujące nad ziemią, nic dla niéj i w niéj nie robią; żyją zaś daleko swobodniéj tylko dla tego, że drudzy muszą pozwolenie pracowania na ziemi drogo u nich okupywać. Mówiono daléj: pomnożywszy liczbę właścicieli ziemi niezawisłych, przysporzy się szczęścia materyalnego. Uznano więc zasadę, im więcéj w którym kraju właścicieli, tém więcéj ludzi materyalnie szczęśliwych. Ponieważ zaś materya i duch stoją w ścisłym z sobą związku, przeto nie da się zaprzeczać, że ten kraj jest i szczęśliwszym. Są prawda ludzie, których szczęście wcale nie zależy od względów materyalnych, u których wewnętrzna spokojność, zdrowie stanowią dostateczną podstawę szczęścia, lecz to są ludzie wznioślejsi, rzadcy, wyjątkowi. Pomyśleć atoli o massie z przekonania, ze zasad szczęśliwości, ani nie można. Otóż tedy pomnożeniem właścicieli gruntowych przebyto pierwszą górę. Tymczasem pokazuje się znowu, że im więcéj jest ludzi, którzy żyją z własności, tém groźniéj podnosi się ich stosunek względem tych, którzy żyją z pracy. Byt właścicieli ciągle się polepsza, ludzi pracy czyli wyrobników, choć może się nie pogorsza, ale przynajmniéj pozostaje na tém samém stanowisku. Dawniéj tylko szlachta w swém życiu domowém w zabawach, w małżeństwach, we wszystkich stosunkach oddzielała się od klas innych, dziś włościanin właściciel nie pozwala córce iść za niewłaściciela, nie lubi z nim jadać przy jednym stole, każe po nim myć kieliszek, choć z całkiém nawet obrzydliwymi, byle sobie równymi, jednym kieliszkiem zapija. Tymczasem ta massa poniżonéj ludno-

ści patrząc na coraz lepszy byt drugich, którzy mają codzień liczniejsze potrzeby, ale też codzień i lepsze dochody, nabywa potrzeb, ale nie nabywa sposobów na ich zaradzenie. Dla tego po teraźniejszych społeczeństwach wzrastają silne pragnienia, na których zaspokojenie nie masz widoku. Pragnienia te, skoro się zleją w jednę ideę, w jednę protestacyą, muszą wywołać coś wielkiego, kłopotliwego i poniekąd straszliwego. Ludzie pojmujący świat, straszliwościom, okropnościom zapobiegać muszą; stąd to czas nasz jest niezmiernie ruchliwy w pojęciach, systematach, bo coś nowego stało się już konieczną potrzebą. Nauka o bogactwie, albo raczéj dostatku narodowym musi sobie szukać nowego stanowiska; jéj pojęcia wkradaja się w inne stosunki i stąd nie masz wątpliwości, że literatura w Europie coraz bardziéj będzie przybierała postać socyalną, podpadnie zupełnemu przetworzeniu. Literatura zaś jest naprzód przestrogą, potém przepowiednią, a nareszcie prawem nowego życia.

Zdarzenie w podróży

Opowiadanie dawnego wojskowego.

przez **R. Z.**

Sprawiedliwe są sądy boże!
A. MICKIEWICZ — DZIADY.

— — Pamiętny w dziejach naszych 1794. rok zastał mnie na Litwie dwudziestoletnim młodzieńcem, a domownikiem u ś. p. Antoniego Prozora, u którego, pozbawiony od dzieciństwa rodziców,, schowałem się i wzrosłem. Zacny ten mąż był jednym z gorliwych patryotów, którzy patrząc na srogie klęski i bliską zagubę ojczystéj sprawy, postanowili upadającą rzeczpospolitę ratować, i porozumiawszy się wzajem, gotowali przyszłe narodu powstanie. — Na początku miesiąca stycznia przywołał on mnie do siebie, a oddawszy chlubną dla mnie z ust podobnego człowieka sprawiedliwość doznanéj ku ojczyznie i jemu samemu wierności mojéj, wręczył mi listy, które do Krakowa zawieść i w własne ręce tamecznych patryotów złożyć polecił; nadto dał mi kilka jeszcze ustnych zleceń do przyjaciół swoich w okolice Białegostoku i Włodzimierza wołyńskiego, a opatrzywszy na drogę i stósownych udzieliwszy przestróg, wyprawił mnie cichaczem z domu.

Podróż tę odbywałem sam jeden konno. Za pozór jéj, gdybym miał wpaść w ręce nieprzyjacielskich posterunków po kraju rozrzuconych służyły mi różne sprawunki, które niby z Wiednia przez Kraków zakupić miałem; w tym celu wiózłem kilka listów zaadresowanych do tamecznych rękodzielników, istotne zaś korespondencye troskliwie w odzieniu zaszyte były. Mimo tego rostropność nakazywała unikać miejsc przez nieprzyjacioł strzeżonych: co połączone z zimową porą, przedłużało jeszcze bardziéj i tak długą mą drogę. Szczęśliwie jednak i bez najmniejszego wypadku odprawiłem większą jéj połowę — minąłem Polesie i wjechałem w granice Wołynia, w pobliskości rzeki Styru.

Tu dnia jednego, na noclegu w zaufanym domu, ostrzeżono mnie, że w miasteczku, przez które przejeżdżać wypadało, konsystuje pułkownik nieprzyjacielski z garnizonem, czuwający nad krokami patryotów, i wskazano natomiast uboczną przez lasy dróżynę, któréj wciąż w prostym trzymając się kierunku, o południu przybyć miałem do dworu poleconego mi obywatela.

Dzień był posępny, wietrzny i słotny. Porwana wichrem zawieja suchego śniegu, zaścielającego grubo ziemię, zasypywała ścieszkę, którą do lasu dążyłem, żem ją zaledwie mógł rozeznawać, a wilgotna śnieżna flaga, padająca bez ustanku, biła w twarz, nie dając podnieść oczu. — Ucieszyłem się wjechawszy do boru, gdzie było nieco ciszéj i przeto łatwiéj wskazanéj mogłem pilnować się dróżyny. — Niedługo przecież trwała ta pociecha i w ciężki zmieniła się kłopot: im głębiéj w las wjeżdżałem, tém bardziéj bijący z góry płachtami śnieg zaściełał ślady drogi, aż mi je zakrył do szczętu. Pamiętając jednak, że wciąż wprostym prowadzić miała kierunku, starałem się go ile możności zachować, spodziewając się tym sposobem uniknąć obłędu. — Niestety! niedaleko ujechawszy jeszcze, przekonałem się żem zbłądził. Co krok prawie wpadałem z koniem w głębokie zaspy śniegu, natrafiałem na zdrojowiska grząskie, pokryte kruchym lodem, który się załamywał pod nogami konia, nareszcie zabrnąłem w gąszcz, z któréj zaledwie wydostać się zdołałem.

Po kilku godzinach takiego błądzenia i ja i koń mój byliśmy znużeni; stanąłem wytchnąć trochę biednemu zwierzęciu, które przez ten czas żuło młodociane latorośle, i sam z podróżnéj posiliłem się flaszy. — Straciwszy nadzieję znalezienia drogi, zdałem się na instynkt koński, jakoż niezawiódłem się na nim. Po niedługim czasie koń mój wybrnął z gęstwin i przepadlin leśnych, zaczął stąpać równo

i pewnie: widocznie znalazł jakąś ścieszkę ubitą — lecz czyli tę którą mi jechać było trzeba?.... Ha — gdybyż się tylko dostać do wsi jakiéj lub chaty, snadniéj się będzie drogi dopytać — byle raz wybrnąć z téj przeklętéj puszczy!

Pomimo jednak, że koń z największém wysileniem po grubo zawianéj stąpał drodze, końca lasu zniskąd nie było widać; na tém zaś większy mój kłopot, mrok rychły w téj porze począł już zapadać, a pomnożony cieniem ogromnych gałęzistych sosien, zupełną okrył mię nocą. Wśród słotnéj, zimowéj nocy, w nieprzejrzanym lesie, w nieznajoméj stronie zbłąkany, głodny, strudzony, w obawie by lada chwila koń nie ustał podemną, bliski już byłem rozpaczy.

Na szczęście powietrze zaczęło się zwolna uciszać; śnieg ustał, przetarły się chmury, zajaśniał w pełni księżyc i niebo wyiskrzyło się gwiazdami. Wkrótce też i koń mój, wydostawszy się z lasu, stąpał po szerokiéj, wysadzanéj drzewami drodze, wiodącéj ku czerniącym się budynkom, w których migające światła niemniéj i niemniéj sprawiedliwie radowały mnie, jak widok gościnnego lądu skołatanego burzą żeglarza. Wystawcież sobie dopiero uciechę moją, gdy minąwszy bramę rozwartą, wjechałem na obszerny dziedziniec jakiegoś dworu.

Żywo zeskoczyłem z konia, a uwiązawszy go u kobylicy, pobiegłem do najbliższego okna w którém się świeciło, i zapukawszy w szyby, prosiłem aby mi drzwi sieni otworzono. Za chwilę wyszedł do mnie ze światłem w ręku niski, sędziwy, na pół już rozebrany mężczyzna, i powitawszy, do izby mię wprowadził. — Opowiedziawszy pokrótce dzisiejszą podróż i pobłąkanie moje, prosiłem o gościnny nocleg dla siebie i konia. Otwartemi rękoma przyjął mnie starzec; z pospiechem zarzuciwszy na siebie kożuszek, poszedł na drugą stronę sieni, zbudził w komorze drzemiących pachołków: jednemu rozkazał wprowadzić do stajni konia: rozsiodłać go, nakarmić, napoić, świeżéj podesłać słomy, drugiego posłał z dzbanem do piwnicy po wino. Sam powróciwszy do izby, otworzył w grubym murze ukrytą szafkę, dobył z niéj dość sporą resztę ryby na zimno (bo był to właśnie piątek), bułkę chleba i jaszczyk praśnego miodu, co wszystko zastawiwszy przedemną na stole, zaprosił do posiłku. — W moim podówczas wieku, po całodziennym poście i trudzie, rzuciłem się nań chciwie.

Tymczasem wysłany chłopak przyniósł z piwnicy spory dzban wina, które gospodarz mój korzeniami zaprawiwszy, przysunął na kominku do ognia, obiecując mi, po umęczeniu i przeziębnięciu, doskonały na rozgrzanie napój. Jakoż niedługo czekając, zastawił pachołek na stole na grubéj cynowéj misie, dzban grzanego wina woniejący cynamonem, muszkatelem i imbierem, a obok dwa spore kubki. — Staruszek zasiadł naprzeciw mnie, napełnił obadwa, i tak ciągnąc powoli doskonały trunek, poczęliśmy gawędzić o powszechnych naówczas wszystkich rozmów przedmiotach — o nowych w kraju zdarzeniach, nadziejach przyszłych i oczekiwanych wypadkach. Z uwag, które czynił, z zajęcia, z jakiém słuchał opowiadań moich, poznałem w uprzejmym gospodarzu i doskonałego Polaka, i wolniejszego od przesądów, niżby wiek jego spodziewać się kazał.

Gdy nareszcie dno dzbana ukazało się próżne, staruszek wziąwszy świecę ze stołu, prowadził mię przez kilka pokoi do przeznaczonéj mi sypialni, gdzie gotowe już łóżko i ogień w piecu mnie czekał, i życząc spokojnéj nocy, samego zostawił. — Zaledwie układłem się w łóżko i dotknąłem poduszki, zasnąłem natychmiast, czy to jednak skutkiem rozmarzającego napoju, czy z innéj jakiéj przyczyny, sen mój był ciężki, gorączkowy, przerywany, pełny widziadeł i marzeń. Jeden sen osobliwie przedstawił mi się tak żywo i dokładnie, tak dziwnie sprawdził się wkrótce, że na całe życie zachowałem go w pamięci.

Śniło mi się, że o saméj północy stałem samotny w jakiéjś żałobnéj, bladém światłem oświeconéj kaplicy. Ściany jéj były z czarnego marmuru, w pośrodku ółtarz biały, także marmurowy, po bokach kilka ciosowych starych nagrobków rycerskich; w podłodze przed ółtarzem widać było otwarte wnijście do podziemnego sklepienia, ogromny grobowy kamień leżał na bok odwalony. Nagle podwoje kaplicy same się z łoskotem rozwarły i nieznajome jakieś, niezwykłe postacie poczęły zwolna długim szeregiem wchodzić w uroczystém milczeniu. Jedne z nich miały na sobie świetne zbroje stalowe, na ramionach zawieszone lamparcie i rysie skóry, inne ferezye, czamary, kontusze, różnych krojów i barw; niektóre przybrane były w fiolety i rokiety księże. Oblicza wszystkich różne wiekiem, rysami, kształtem bród i wąsów, jedno w drugie były białe jak prześcieradło śmiertelne, a z pod rozwartych nieruchomie powiek dziko błyszczały szkliste, w słup stojące oczy. Szli tak cicho po kamiennéj posadzce kaplicy, jakby płynęli w powietrzu; stalową blachą pokryte stopy rycerzy stąpały bez łoskotu po marmurze i szable wlekły się bez szczęku. — Wszy-

stkie te śmiertelne widziadła kroczyły wprost ku otwartemu sklepieniu grobów, i zstępując jedna po drugiéj, nikły w ich czarnéj otchłani. — Na samym końcu, o kilka kroków za całym orszakiem, postępował wysoki, w ciemną szatę ubrany, z myśliwskim u pasa nożem młody jeszcze mężczyzna: jego tylko jednego twarz miała cerę życia, lecz tak posępny, zimny i chytry był jéj wyraz, tak złowrogie oczu jego wejrzenie, że wstrętem i przerażeniem wskróś mię całego przejęły. — Stanąwszy u rozwartego wnijścia grobu, obejrzał się dziko w około. Spostrzegłszy mnie, rzucił się na mnie z wściekłością, schwycił za włosy i przywlokłszy nad brzeg lochów, usiłował do nich strącić. Z całą siłą trwogi śmiertelnéj wydzierać mu się począłem, i tak szamocąc się gwałtownie — zlany zimnym potem — zbudziłem się z okropnego marzenia; a lubo późniéj zasnąłem raz jeszcze, przerwany sen ów nie wrócił już więcéj.

Pomimo przerywanego, niespokojnego noclegu zbudziłem się rano zdrów i rzeski. Począłem się już nawet do dalszéj sposobić podróży, gdy wszedłszy gospodarz mój, zwiastował mi złą nowinę, jako mój koń tak mocno znużony jest i podbity, że bez całodniowego spoczynku niepodobna będzie na nim jechać. Zaszedłszy do stajni, znalazłem istotnie biedne zwierze w tak godnym pożałowania stanie, że mimo gorącéj chęci pośpiechu, musiałem przyjąć na ten dzień cały serdecznie ofiarowaną poczciwego starca gościnność.

Wracając z stajen do zamku, teraz dopiero po dniu białym rozpoznać mogłem jego powierzchowność. Zamek to musiał być kiedyś obronny, jak wskazywał głęboki i szeroki przekop, otaczający go naokoło, tudzież mur gruby ze strzelnicami do ręcznéj broni, przez pół już w gruzach leżący i dzikiemi, wijącemi się krzewami pokryty. Obszerny, w około drzewami sadzony dziedziniec, z trzech stron zamykały wzniesione w kształt podkowy mieszkalne zabudowania. — Środkowy korpus, o wysokim łamanym dachu, z armaturą i herbami na froncie, z przysionkiem na czterech grubych słupach wspartym, łączył się po każdéj stronie długą galeryą z oficynami bocznemi, z których jedna była pomieszkaniem samego pana, druga rządzcy (a tym był mój uprzejmy gospodarz) i zamkowéj służby. Główny gmach, jak mi to, choć niepytany, obyczajem wieku swego ludzi chętnie gawarzyć i opowiadać lubiący staruszek powiadał, od roku blisko stał pustkami.

Nieco na ustroniu, z nad gęstwy brzóz i świerków stérczała wysmukła, złocistym krzyżem uwieńczona wieżyczka. Rządzca zwrócił na nią uwagę moją:

— Jest to kaplica grobowa, dziedziczna od kilku wieków w rodzinie tutejszych panów. Warto w niéj widzieć rzeźbiarską sztuką marmurowe statuy i nagrobki starodawne. Stoi dziś właśnie otworem, jako w rocznicę zgonu nieboszczyka pana, a brata dzisiejszego dziedzica, dla zamkowych sług i ludzi ze wsi, westchnąć za duszę jego chcących. Miała być i msza żałobna — ale — cóż dobrodzieju? — nasz kapelan, ksiądz Xawery, Societatis Jesu wyjechał za pilnemi sprawami jakiemiś do Łucka i dotąd jeszcze nie wrócił.....

Tak gwarząc, przywiódł mnie staruszek przed kaplicę, z któréj przez uchylone drzwi dochodziły w półgłosie modły kilku chłopów i bab wiejskich. Kiedyśmy weszli do środka, zaledwiem naokoło raz powiódł oczyma, stanąłem cały osłupiały z dziwu. Raz pierwszy w życiu przestąpiłem próg ten, a przecież miejsce zdało mi się doskonale znaném. Istotnie była to taż sama kaplica, którą w marzeniu téj nocy widziałem: poznawałem téż same ściany z czarnego marmuru, ten sam biały w pośrodku ółtarz i starożytne po stronach grobowce; przed ółtarzem głaz ogromny, z wyrytym na wierzchu herbem i nieczytelnym od wieku napisem, przykrywał wejście do grobów sklepionych, które we śnie widziałem otworem stojące. — Ten dziwny skład marzeń sennych z oglądanemi teraz przedmiotami, nadzwyczaj zajął myśl moją, i długo jeszcze po wyjściu z kaplicy siliłem się nad wykładem snu owego. Wreszcie, nie mogąc w żaden sposób wynaleść mu żadnego znaczenia, zwyczajem w podobnych razach pospolitym przypisałem go samemu przypadkowi i dowolnéj grze wyobraźni, zgoła tym przedmiotem zajmować się poprzestałem.

Powróciwszy do izby, gdyśmy siedli do śniadania, wszedł dworski, przynosząc rządzcy jakoweś od pana zlecenie. Zdziwiłem się nie pomału, słysząc że dziedzic jest w domu. W całym bowiem zamku było tak pusto i głucho jak w klasztorze — z czego nawykły patrzeć na hałaśne i okazałe dwory naszych panów, wnosiłem, że dziedzic nieobecny być musi. — Gdy dworski wyszedł z pokoju, oświadczyłem starcowi zadziwienie moje nad niezwykłym obyczajem życia tutejszego pana; — chyba — rzekłem — jest to już zgrzybiały i schorowany człowiek, oczekujący w łóżku ostatniéj godziny.

— Przeciwnie mój dobrodzieju — odpowiedział rządzca — nie liczy jeszcze lat spełna trzydziestu i czerstwy, jak Bóg daj zawsze. A jednak żyje sa-

motnie jak pokutnik, unikając społeczeństwa ludzkiego, nie wychodząc krokiem za mur zamkowy, ani przyjmując gości u siebie od połowy roku z górą, to jest od czasu jak tu na mieszkanie przybył. Całe jego towarzystwo składa kapelan ksiądz Xawery, a służbę dworski, który tylko co stąd wyszedł, i przez którego rozkazy pańskie zawżdy odbieram.

— Ażebyś wszakże nie myślał, mosanie, że takowy młodego i dostatniego pana obyczaj z brudnego skępstwa, głupstwa lub (uchowaj Boże) czego podobnego pochodzi, powiedzieć ci muszę i dawniejsze powołanie jego i zdarzenia smutne w rodzinie jego od lat kilku zaszłe, na które bądź sam patrzałem, bądź od ludzi opowiedziane je mam.

— Potrzeba mosanie wiedzieć, że zmarły trzeci rok temu pan starosta, rodzic teraźniejszego dziedzica zamku, był to srogi tyran na poddane swoje: o byle co chłostał srodze i więził człowieka, a nieraz nawet niewinnie. — Jednego razu, a mija temu rok trzeci, skatował, jak wszyscy mówią niesprawiedliwym uniesiony gniewem (co racz mu Boże na sądzie Swym darować) tak okrutnie starą ze wsi babę, powszechnie za Znachorkę u ludu mianą, że na trzeci dzień skonała. Przed śmiercią przywoławszy do siebie włódarza, kazała mu iść powiedzieć staroście, że nim nad nią młoda porośnie trawa, zapozywa go na straszny sąd Boga; nim zaś się jéj grób niewinny trzykroć zazieleni, obaj jego synowie zejdą nędznie ze świata i nazwisko na wieki zaginie.

— Śmiał ci się starosta z tej babskiéj pogróżki, po staremu pił, hulał i mordował; alić nim spełna wyszedł, zachorowawszy nagle, skonał pomimo starań żyda lekarza, nie mając nawet téj ostatniéj pociechy, aby synowie oczy mu zawarli. (Starszy bowiem bawił natenczas w Warszawie, młodszy zaś wychowany pod okiem ojców Jezuitów, powziąwszy chęć do stanu duchownego, zostawał w Mochilewie jako nowicyusz w tamecznym konwencie Societatis Jesu.) Ostatnią wolą swoją umierający starosta, opatrzywszy młodszego syna — jako przyszłego zakonnika — nie wielkim zapisem, majątek cały zlał na starszego, rozkazując mu pod błogosławieństwem ożenić się w przeciągu roku. Widać stała mu na myśli owa wróżba Znachorki, zapowiadająca rychły rodzinie jego koniec, i że spełnieniu jéj zapobiedz chciał.

Zjechał więc wkrótce młody dziedzic z Warszawy, a że oddając się politycznym naukom, niewielki był gospodarz, za wstawieniem przeto łaskawego pana regimentarza, pod którym barską odbyłem konfederacyą, powierzył mi rządy majątku swego. Przysłowie mówi, mosanie, że nieopodal pada jabłko od jabłoni; — że jakie drzewo, taki klin — jaki ojciec, taki syn. Bywać tak często, ale co na ten raz stało się na przekór przysłowiu. Syn mojego starosty był, iż tak rzekę, anioł w ludzkiém ciele, wzór sprawiedliwości, pobożności i miłosierdzia ku biednym. To też, choć dziecię znienawidzonego ojca, rychło zyskał szacunek i wierność u wszystkiéj włości, i powszechna była pomiędzy ludźmi radość, gdy nadszedł czas, że pełniąc rodzicielską wolę, zaślubić miał zacną ze sąsiedztwa pannę.

— Nikt wtedy nigdy nie wspomniał o wróżbie nieboszczki Znachorki, bo nikt nie życzył wypełnienia jéj, i pewnie sama, gdyby z grobu wstała, widząc dobrego pana, odwołałaby klątwę swoją. — Alić widno w złéj godzinie wyrzeczone słowa, spełnić się na nim musiały.

Na kilka tygodni przed nadchodzącém biednego pana weselem poczęli się tu zjeżdżać zaproszeni przyjaciele i krewni, między niemi brat młodszy, a dzisiejszy dziedzic, przybył z nowicyatu. Przy licznym zjeździe tylu panów i ich dworów, było na zamku wesoło jak w raju; codzień bankiety, zabawy, i jako w zimowéj porze, tłumne łowy w obszernych po nad Styrem kniejach.

— Aż dnia jednego (a dzisiaj właśnie rocznica tego nieszczęsnego dnia) wszystko państwo ze strzelcami polowało na dziki w ostępie nad samym brzegiem rzeki, my słudzy czekaliśmy w zamku z gotowym obiadem, tymczasem przyszedł wieczór ciemny, a ich z powrotem jak nie ma, tak nie ma. We dwie lub trzy dopiero po zachodzie dnia godziny, wrócili wszyscy, krewni, przyjaciele, ale dobry pan nie wrócił z nimi. Jak powiadali, po kilkogodzinnych łowach, zszedłszy się pod trzema dębami na odpoczynek i posiłek myśliwski, spostrzegli nieobecność samego gospodarza. Jedni drugich dopytywali nawzajem o niego, lecz od chwili rozejścia się na stanowiska, żaden go więcéj nie widział; brat zaś młodszy, który najbliżéj niego stał, zapewniał, że gdy na znak łowczego szedł z swego miejsca około stanowiska braterskiego widział je próżném i sądził, że go już w miejscu zebrania zastanie. Gdy napróżno to trąbką, to strzałami przywoływali nieobecnego do siebie, po długiém oczekiwaniu nie słysząc żadnéj na swe hasła odpowiedzi, niespokojni, pobiegli go szukać wszyscy. Nieszczęściem ziemia zmarzła i nie pokryta śniegiem, nie mogła podać żadnego śladu, ku któréj stronie odszedł opuściwszy stanowisko. — Na los więc szczęścia rozproszyło się co żyło po kniei;

mimo atoli najgorliwszych poszukiwań, z zapadłą nocą smutni do zamku wrócić musieli.

Przez dwa dni jeszcze marne były wszelkie szlakowania; czwartego dopiero ranka rybacy, łowiąc w Styrze pod lodem ryby, wyciągnęli z wody pańskiego trupa.

(Dokończenie nastąpi.)

Kawa, herbata i czekulada.

(Ciąg dalszy.)

Odkrycie i sprowadzenie kawy do Europy. Według powieści, mieli kawę odkryć arabscy zakonnicy. Pasterz kóz, należących do jednego klasztoru, postrzegł jednego razu, że trzoda jego dziwne skoki wyprawiała i całą noc tak się bawiła. Niespokojny uwiadomił o tém zakonników i narzekał, że jego trzoda została oczarowana. Przeor, człowiek rozsądny, poznał, że to z paszy pochodzić musi i udał się na pastwisko. Tu spostrzegł mnóstwo drzewiąt rosnących, na których pełno było owocu; przeor nie znał tych ziarn, ale że ich mnóstwo leżało, przeto sądził, że tych się trzoda najadła i była wesołą. Zebrał ziarna i wrócił z niemi do klasztoru, a po ugotowaniu ich, wypił ostudzony odwar. Ale i jemu zrobiło się wesoło i rzeźwo, przeto dawał zakonnikom ten odwar za napój, dla czuwania w nocy nad służbą bożą. Próba udała się, i uważano wkrótce, że ten napój rozwesela ducha i boleści żołądka koi. Po niedługim czasie zaczęli pić ten napój i inni, a kawa z nad brzegów morza czerwonego upowszechniła się w Mece, Medynie i po wszystkich krajach machometańskich. Według jednego arabskiego rękopisu, który pochodzić ma od przodka Abdel-Kadera, i znajduje się w bibliotece królewskiéj w Paryżu, kawa wcześniéj już była używaną w Persyi i Afryce, niż w swéj pierwotnéj ojczyznie Arabii. W połowie XV. wieku przedsięwziął mufty Adenu, teraźniejszéj fortecy angielskiéj, podróż do Persyi, widział tu napój kawy i zaprowadził go w swojéj ojczyznie.

We wielu miastach urządzono publiczne sale do picia kawy. W Persyi, jak u nas są to porządne miejsca, w których przepędzają swój czas ludzie bez zatrudnienia, a pracowici odpoczynek przyjemny. — W Konstantynopolu inaczéj, tam był natłok tak wielki w kawiarniach, że Amurat III. rozkazał je zamknąć, bo użalali się słudzy meczetów, iż domy boże stały próżne, gdy tymczasem kawiarnie przepełnione były ludem. Rozkazano w domu pijać kawę, a modlić się w kościołach, ale niedługo trwał zakaz, liczba kawiarni niezmiernie się powiększyła. W Kairze kawa także znalazła opór. Zaprowadzili ją tu derwisze z Yemen, którzy chcąc się długo modlić w kościołach, pili kawę. Pewnego wieczora postrzegł namiestnik po ukończeniu swych modlitw, iż w kącie meczetu zgromadziło się towarzystwo pijących kawę, które miało zamiar przepędzić noc w meczecie. Ich wesołość naprowadziła na myśl namiestnika, że kawa upaja, a przynajmniéj podsyca lubieżność, powypędzał derwiszów z meczetu i zakazał im pić kawę. Mimo to upowszechniło się jéj picie w mieście. Równie Abdalla Ibrahim, prawodawca, oświadczył się w roku 1523. przeciw kawie. Dowódzca atoli siły zbrojnéj zwołał lekarzy, wysłuchał ich rady, rozkazał im podać kawę, i widząc że im nie zaszkodziła, pozwolił pić mieszkańcom kawę i tym sposobem uspokoił ich umysły.

Tak kawa upowszechniła się na wschodzie mimo zakazu ze strony władz, praw i religii, które się wspólnie przeciw niéj oświadczyły. Turcy mają urzędnika osobnego dla Kawy, zwanego Kaweghi, w seraju jest dwóch takich urzędników, którzy mają pod swemi rozkazami 30 niższych urzędników gotujących kawę. Każdy Turek pije kawę kilka razy na dzień; w każdym domu bogatszym stoi zawsze saganek z kawą na ognisku, a Turek uważałby za niegrzeczność, gdyby gościa nie poczęstował kawą. Jeżeli wezyr nie dopełni tego zwyczaju, jest to już pewnym znakiem niełaski. Mieszkańcy wschodu piją kawę bez cukru i z tego powodu nie używają łyżeczek; piją bardzo gorącą i mocną kawę i zaprawiają ją kilku kroplami essencyi ambry, gwoździkami lub anyżem.

W Europie wspomina naprzód Prosper Alpin, sławny lekarz w Padwie, który towarzyszył konsulowi rzeczypospolitéj weneckiéj do Egiptu, o kawie i wydał w roku 1592. dzieło o roślinach rosnących w Kairze, a między innemi i o kawie, z któréj Arabowie i Egipcyanie napój robią i zamiast wina go używają. W roku 1640. udał się włoski lakarz Vesling do Egiptu, nie znalazł wprawdzie drzewa, ale widział w Kairze mnóstwo kawiarni, gdzie Egipcyanie pili kawę publicznie i zaprawiali ją cukrem dla złagodzenia goryczy. Przez Wenecyan upowszechniła się kawa w Europie. W Anglii zaprowadził ją Edwards kupiec w roku 1652., ale miał tyle trudności do zwalczenia jak w Turcyi, ponieważ rząd an-

gielski uważał kawiarnie za szkołę zepsucia i pozamykał wszystkie w roku 1675. We Francyi naprzód upowszechnił się ten napój w Marsylii, w roku 1644., ale właściwie dopiero w Paryżu poznano kawę w r. 1669., kiedy Soliman Aga przybył w poselstwie do téj stolicy i przywiózł ze sobą tyle kawy, że mnóstwo osób przez niego częstowanych polubiło ten napój. Wówczas funt kawy kosztował 40 talarów, wkrótce atoli staniała i jednę po drugiéj zakładano kawiarnię. Pierwszy był armeńczyk nazwiskiem Paskal, który w roku 1672. na placu St. Germain kawiarnię założył, a drugą na Quais de l'ecole, przedawał filżankę kawy po 2 sous i 6 deniers. Wkrótce Etienne Alep założył ozdobną salę z zwierciadłami i marmurowemi stołami, w któréj dawał kawę. Dziś jeszcze istnieje ta sala na ulicy St. André des arts, naprzeciw pont St. Michel. Z Paryża upowszechniła się kawa po prowincyach, a następnie po całéj Europie. W Lipsku założył pierwszą kawiarnię niejaki Richter w roku 1694.

Wielki odbyt na kawę obudził żądzę zaszczepienia drzewa kawowego w Europie. Drzewo to jedynie rosło w Arabii, a karę śmierci wyznaczyli książęta arabscy na każdego, coby choć gałązkę tego drzewa chciał wywieść z kraju. I trudno było ją przewieść, bo roślina kawowa rosła w okolicy odległéj od Moka na 25 godzin drogi, jedynego portu, do którego przybijały okręty europejskie. Powiadają nawet, że Arabowie ostrożność swoją tak dalece posunęli, iż zasuszali ziarno w ten sposób, aby nie mogło wydać rośliny. Mimo wszystkich przeszkód i niebezpieczeństw Holendrzy dokazali swego, wykradli roślinę i upowszechnili ją w Batawii. W roku 1714. podarował magistrat amsterdamski królowi Ludwikowi XIV. drzewo kawowe, które kwitło w jardin des plantes. Ztąd upowszechniono tę roślinę na Martynice, a po upływie kilku lat, królowa ta Antyllów posiadała mnóstwo drzew kawowych. Z Martyniki przywieziono ją do St. Domingo, Guadeloupe, i innych wysp antylskich. W roku 1718. kompania indyjska w Paryżu sprowadziła z Moki do Bourbon kawowe drzewa.

Arabowie nazywają kawą sułtańską płyn otrzymany z nalania wodą miąższu otaczającego ziarna kawowe. Napój ten jest przyjemny, orzeźwiający, i ma się znajdować w handlu. Toż samo nazwisko nadają w Europie napojowi powstałemu z odgotowanéj kawy niepalonéj. W Azyi południowéj rozpuszczają miąższ owocu kawowego w wodzie i robią z tego pewien rodzaj wina. Na Antyllach nie wyrabiają tego rodzaju napoju. Kolonie i Arabia dostarczają teraz 459 milonów kawy, do Europy przywożą 108,420 beczek, z których przypada na związek celny niemiecki 800,000 centnarów. Jest to najważniejszy przedmiot w handlu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

— Amerykanin Benvard ukończył szczególny obraz i okazuje go w Ameryce; ma zamiar przybyć z nim do Europy; wyobraża on całą rzekę Missisipi z jéj okolicami. Płótno na którém jest malowany, wynosi 3 mile angielskie i jest na walcu zwinięty, i patrzącym rozwija się z wolna.

— Anglicy i Szkoci są ludzie praktyczni, którzy ze wszystkiego umieją korzystać. W Aberdeen codzień umiatają ulice, co kosztuje na rok 10,000 talarów, ale za śmieci bierze magistrat 15,000 talarów. Wszystkie miasta angielskie i szkockie podobnie zarabiają na śmieciach, które w nawozy zamieniają i przedają rólnikom i ogrodowym.

— Chemiczny rozkład poziomek leśnych i kilka z niemi podjętych prób dowiodły, że dojrzałe poziomki najskuteczniéj piegi spędzają. Potrzeba je przed zaśnięciem zgniecione do zepstrzonéj piegami części twarzy przyłożyć i dopiero nazajutrz rano obmyć, a można być pewnym, że byle poziomki były dojrzałe, spędzone piegi nie wrócą.

— Rozprawiano często o grzeczności Amerykanów względem płci pięknéj, ale i ta grzeczność ma sobie właściwe znamie. Najdziwaczniejsze nawet życzenia kobiet zaspokajają Amerykanie bez żadnych przysad, bez przyjacielskich oświadczeń, lub przymileń oka i głosu, jak to zwykli czynić ugrzecznieni męszczyzni w innych krajach. Jest to skutkiem narodowego uczucia, bo Amerykanie nawet w zatrudnieniach i zabawach codziennych nie chcą uznać żadnych zobowiązań. Wygnali nawet ze swéj mowy wyrażenia się: — dziękuję, jeżeli łaska, proszę o wybaczenie. — Francuzi, którzy ani w połowie nie są tak grzecznymi względem kobiet jak Amerykanie, uchodzą za najgrzeczniejszy naród, ponieważ swój egoizm zręcznie umieją pokryć tysiącem ukłonów i frazesów. Jeżeli Amerykanina prosi kto o ustąpienie miejsca swego dla damy, natychmiast wstaje i ustępuje, ale przytém żadnéj nie wymówi grzeczności, nie oddа pokłonów, ani nie rzuci uśmiechającym wzrokiem.

Męszczyzna wyraża radość z przysłużenia się pięknéj kobiecie, a kobieta przyjmuje ofiarę bez podziękowania za nią. — Brazylianie zaś inaczéj uważają płeć piękną, u nich za najwyższą piękność uchodzi jak u Turków otyłość kobiet, Brazylianin największą wtenczas powiada grzeczność kobiecie, kiedy podziwia jéj otyłość i kształty okrągłe.

— W domu celnym niedaleko Londynu wydarzył się zabawny przypadek. Młoda wieśniaczka udała się ze swym kochankiem na okręt, który miał przewieść wychodzców do Ameryki. Jéj zamiarem było udać się do nowego świata i tam wziąść ślub z kochankiem. Swój majątek, wynoszący 1400 tal., oddała na schowanie kapitanowi okrętu. Gdy para ta oblubieńców stanęła na okręcie, kochanek zażądał pieniędzy. Ona mu ich dać nie chciała, pokłócili się o to, a kochanek rzekł do niéj z zimną krwią: „bądź zdrowa“ i wrócił na ląd. Opuszczona wybiegła na pokład, nie rzuciła się w morze, ale przemówiła głośno do stojącego licznie ludu nad brzegiem, że jeżeli który z młodzieży chce zastąpić miejsce jéj niewiernego kochanka, niechaj się zgłasza i przyrzeka oddać mu swą rękę. Wystąpił z tłumu młody piękny mularz, oświadczył się ze swém sercem, wieśniaczka wezwała go na okręt i razem popłynęli do Ameryki.

MODY.

Paryż, dnia 4. Czerwca 1847.

Mantylle stały się teraz nieodbitą potrzebą i słusznie, gdyż one są do wszelkiego ubrania.

Nie masz nic zmienniejszego nad — kobiety, doda kto, nie to chcieliśmy powiedzieć, to zbyt stara gadka i powtarzamy, że nic zmienniejszego nad kapelusze. Prawie co tydzień nowe widzim formy, a modystki nie mogą spocząć w wynajdywaniu nowych kształtów. Widzieliśmy w tym tygodniu nadzwyczaj lekkie ściągane kapotki i prześliczne słomkowe kapelusze. Ostatnie mają główkę z pasków częścią ryżowych, częścią z zwyczajnéj słomy. Pod obwodem są podszyte paliową kitajką, a na wierzchu wystrojone bukietem kwiatów. Wstążki są albo paliowe, albo w kolorze kwiatów. Kapotki są z tulu, z gładkiéj krepy i ściągane tylko u brzegu obwodu. Około główki znajduje się lekka zasłona tulowa, która nie może zasłonić jasnych i żywych kolorów kwiatów. Nie można sobie wystawić coś zdobniejszego nad te letnie kapelusiki.

Gorąca upowszechniły lekkie tkaniny, bareże i muśliny jedwabne. Zaczynają robić szlafroczki otwarte z białego muślinu, które noszą na sukniach spodnich z białéj, liliowéj i bladozielonéj kitajki. Białe suknie wprawdzie tu i owdzie się pokazują, ale je noszą tylko sposobem wyjątkowym. Najmodniejszemi są zawsze jedwabie. Nadzwyczaj wiele kupują kitajek w maleńkie paski na szlafroczki negliżowe. Na ozdobniejsze suknie wybierają kitajki z szerszemi paskami, które z rozmaitych linijek w rozmaitych cieniach są ułożone. Na tkaninie n. p. szaréj są paski w rozmaite cienie zielone. Kolor zielony także się z ciemno-niebieskim, szary z różowym, pilśniowy z pomarańczowym zespala.

Staniki u sukien dotąd dosyć wysoko zachodziły, ale zaczynają teraz, bo pora po temu, bardziéj wycięte nosić i to w czworokąt, orzucając je w wodę lub wstążkami. Na sukniach jedwabnych najlepiéj wyglądają koronki, w kolorze tła sukni. W tym celu wymyślono dwa nowe rodzaje koronek, u jednych każde kwiecie, każdy listek, każda rozetka jest osadzona sznureczkiem, który nadaje pewną grubość i moc, u drugich każdy kwiat, każdy listek jest oszyty niteczką srebrną. Szerokie falbany, ankaszanty odpowiadają wystrojowi stanika, jak się samo przez się rozumie. Pięknie wyglądają te nowe koronki na kapeluszach z koronek słomianych lub ze słomy i włósia.

Czepki także w różny sposób stroją, są małe i z boku krótkie, tak, że prawie na czubku są umieszczone.

Wszystkie niemal kapelusze są ozdobione pod obwodem bufkami tulowemi i kwiatami, nigdy zaś wstążkami.

Objaśnienie ryciny.

1. Frak ze złocistemi guzikami. Krawat kolorowy. Kamizelka pikowa.
2. Kapelusz krepowy, orzucony zasłoną. Suknia kitajkowa z otwartym stanikiem, ogarnirowana fręzlą.
3. Kapelusz krepowy ozdobiony piórem. Opończa jedwabna, Suknia jedwabna.

Redaktor *N. Kamieński.* Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*